

MOJE DŁUGI

Skoczkom narciarskim, co nietrudno zgadnąć, śni się szybowanie w powietrzu, powtarzające uczucie euforii z rzeczywistości. Krytycy teatralni marzą raczej o śpiewie ptaków, sny pijanych cukierników i artystów z Bożej łaski oglądają na jawie, zwykle między siódmą a dziesiątą wieczorem. Z niewielkimi wyjątkami rzecz jasna. Nie znaczy to, że sny krytyków pozbawione bywają kontaktu ze sztuką Melpomeny.

Do mnie na przykład wielokrotnie powracał onirycznie Wojciech Siemion. Siedział na czarnym parapecie szatni w Szkole Teatralnej przy Miodowej, na dużym, głębokim półmisku połyskiwał żółty rosoł, w którym pływał cieniutki sojowy makaron i chińskie, ciemne grzyby. Siemion te grzyby kroił nożem i nadziewając je na widelec mówił, że w sztuce najważniejsza jest konstrukcja. Nie dialogi, tylko konstrukcja, bo dramat powinien być zbudowany jak katedra – powtarzał, uśmiechając się chytrze. Sen nieodmiennie przerywał Adam Hanuszkiewicz, próbując ponad tym półmiskiem odebrać swój płaszcz od szatniarki, bez zdziwienia, jakby to było naturalne miejsce dla rosołu, nucąc melodię – „Pani matko, kot, kot, dostał się do pokoiku przez płot” – i znikał w jakiejsz czeluści.

To by się tłumaczyło, właśnie w Narodowym grano *Męża i żonę* z tą piosenką. Ale Siemion? Nigdy mnie nie uczył, sztuk nie pisał, tylko w Starej Prochowni prowadził teatrzyk i miał dość dziwne pomysły. Irenę Eichlerównę poprosił kiedyś, by czytała listy Chopina przy akompaniamencie *Etiudy rewolucyjnej*, granej na fortepianie przez skąpo, a prawdę mówiąc wcale nie ubraną studentkę, która potem została żoną rektora. Jana Kulczyńskiego namówił, by wystawił szekspirowski *Wieczór trzech króli* z samymi kobietami,

ale jaki to był wieczór i jakie kobiety! – Irena Kwiatkowska, Ryszarda Hanin, Hanna Stankówna, Zofia Mrozowska. Sam Siemion wzruszał i rozśmieszał opowiadając filozoficzno-życiowe perypetie biednego, żydowskiego krawca powołanego do istnienia w cudownym opowiadaniu *Mrzonka* Antoniego Słonimskiego. To jedno z najpiękniejszych przedstawień, jakie oglądałam w życiu, wykreowane tylko ze słów. Może dlatego Wojciech ukazywał mi się w snach, pochylony nad półmiskiem rosołu, a może dlatego, że potrafił w najmniej sprzyjających okolicznościach deklamować Gałczyńskiego i innych poetów „na kilometry”. Kto dziś ma takie pomysły, kto się bezinteresownie nauczy na pamięć wielu tomów wierszy? Toteż od lat artyści mnie w nocy nie odwiedzają.

Na jawie o niektórych myślę z tym większą sympatią, im większy dług zaciągnęłam. *Twórczość* ukazuje się dwanaście razy w roku, jasne więc, że muszę skupiać się na rzeczach najważniejszych. Nie wszystko zatem, co oglądam, opisuję. Zostają mi w pamięci piękne role albo ich fragmenty, poszczególne sceny, scenografie, klimaty, czyli poszczególności, które swoją urodą dręczą krytyczne sumienie.

Największy dług mam chyba wobec Joanny Szczepkowskiej. Prawie co tydzień, biorąc do ręki *Wysokie obcasy*, o tym sobie przypominam. Aktorka pisze tam krótkie, pełne literackiego wdzięku felietony. Lubię je za delikatność i nieco surrealistyczne poczucie humoru. Są miłą chwilą weekendu, chwilą zastanowienia się nad sobą, nad urodą świata, postawami ludzi, których mijamy. Ich subtelny, delikatnie ironiczny ton sugeruje ujmującą bezinteresowność, choć nią nie jest. Szczepkowska nie pisze, żeby było napisane,

nie odrabia wierszówki, tylko pisze po to, by coś własnego czytelnikowi zaproponować. To nie jest publicystyka z grubej rury, walka na śmierć i życie z kimś czy przeciw czemuś – zarzuty, armaty, huk. W naszym coraz bardziej brutalnym świecie jej subtelny uśmiech, liryczny dystans do świata stanowią moment wytchnienia. Kończą lekturę Szczepkowskiej z dobrymi uczuciami. Ładne to i mądre.

Podobnie jak jej aktorstwo. Nieopisane właściwie, mimo że zagrała o wiele więcej i lepiej niż jej suto opisywane koleżanki. Trochę na własne życzenie, mało kto bowiem odważy się na portret osoby tak sprawnie władającej piórem. Już jej fantastyczna rola Eweliny Rojskiej z serialu Kazimierza Kutza według *Sławy i chwały* Jarosława Iwaszkiewicza mogłaby być szkieletem takiego portretu. Przeszła bokiem, właściwie niezauważona, a przecież trzeba było wielkiej aktorskiej intuicji i mądrości życiowej, by zagrać tę postać jak Joanna Szczepkowska. Młodość bohaterki przypadającą na czasy rosyjskiej rewolucji, dojrzałe życie poświęcone zarządzaniu majątkiem w międzywojniu, okupacyjne doświadczenia aż po okrutną samotność po wojnie. Dzięki takim kobietom jak Rojska, prawym, odważnym oraz niezwykle pracowitym, mężczyźni mogli urzeczywistniać wielkie idee od politycznych, społecznych po te, z jakich wyrasta sztuka. To one dostarczały im wsparcia bytowego i duchowego, choć życie ich nie oszczędzało. Pani Ewelina straciła synów w dramatycznych okolicznościach: pierwszy zginął jako bohater w wojnie polsko-bolszewickiej, drugi jako rzekomy konfident gestapo w czasie okupacji niemieckiej. Aktorka z niebywałą klasą i prostotą uwiarygodniła postać swej bohaterki w każdej scenie serialu, zarówno jako kobietę młodą, radosną, jak i coraz bardziej zmęczoną życiem aż po przejmujące sceny ostatnie, gdy stara już i posiwiiała mieszkając sama w Milanówku powtarza „...trzeba żyć, mimo wszystko trzeba żyć...” Jednak role napisane przez mądrych pisarzy, skupiające w sobie ich wiedzę i doświadczenia, wymagające od aktora największej koncentracji zdarzają się bardzo, bardzo rzadko. Wolny rynek niesie ze sobą wolny gust.

Artystycznym wyrazem buntu aktorki wobec komercji i trywializacji zawodu stał się jej monodram *Goła baba*. Miejsce zdarzenia – Teatr Powszechny, podobieństwo do osób znanych – wykluczone. Wystąpiła w nim jako autorka, a także odtwórczyni dwóch diamentalnie różnych kobiet. W pierwszej części spektaklu pojawia się jako wiotka, delikatna Kobieta z Parasolką, proponując widzom „koncert gry na ciszę”, „milczenie w języku starogreckim” i podobnie subtelne ćwiczenia intelektualne; zabarwione cienkim humorem z surrealistyczną aurą w tle.

W drugiej części Szczepkowska przemienia się w rozlazłą, tłuste babsko. Artystkę do wynajęcia. W blond peruce z loczkami, ubrana jak kwintesencja bezguścia, z obowiązkową komórką w ręku krzyczy, śmieje się głośno, czyli pokazuje bardzo dobre samopoczucie bohaterki. Rzucając do widowni co chwilę porozumiewawcze „Myszcзки kochane!”, targuje się przez tę komórkę o ceny występów. „Goła baba – dojazd własny” – to jej hasło reklamowe, ale rozbierać się może wszędzie, proszę bardzo – na wiecu, na uniwersytecie, w czasie manifestacji wyborczej (barwy partii obojętne) i pod zakrystią. Zahamowań żadnych, ważna tylko kasa. Gdy w końcowej scenie widownia czuje miłą wyższość, oglądając w ostrych światłach striptiz tłustej baby, śmieje się, rozanielona bije brawa, spod obwisłych piersi i przelewającego się tłustego brzucha wyłania się znów subtelna Kobieta z Parasolką. Uosobienie trywialności i uosobienie subtelności w jednym. Co wybrać? Decydują widzowie, autorka tylko ich inteligentnie podprowadziła... w maliny. Okazuje się więc, że aktor nie musi być bezwolną maszynką do grania, człowiekiem do wynajęcia, lecz może być, nawet w niesprzyjającym sztuce *transit time*, świadomym swego miejsca artystą. Rzadkie zjawisko, więc krzepi.

Spokój sumienia mać mi również Krzysztof Majchrzak – artysta wyjątkowo utalentowany i wyjątkowo bezkompromisowy. Pamiętam go z młodości jako zapaśnika cyrkowca w *Arii dla atlety* Filipa Bajona, bohatera *Konopielki* Witolda Leszczyńskiego, później jako dziwnego księdza w *Cudownym miejscu*

Jana Jakuba Kolskiego oraz z wielu ról dziwaków, artystów w spektaklach Teatru Studio. Zawsze był osobny, skupiony na tym, co robi, widać było, jak bardzo poważnie traktuje swój zawód. Nie dostawał jednak głównych ról, na lata zniknął, wiadomo było, że gra świetnie na fortepianie, tworzy zespół jazzowy, odbywa podróże po egzotycznych krajach.

Ostatnio zagrał w *Tamie* Connora McPhersona – fantastycznie. Dla niego warto zobaczyć ten spektakl. Jak wiele irlandzkich sztuk i ta opowiada o życiu zwykłych ludzi na zabitej dechami prowincji. Poza ciężką pracą, biedą i wciskającym się wszędzie wichrem na niewiele mogą liczyć. Mężczyźni szukają chwili wytchnienia w barze. Majchrzak-Jack jest jednym z nich. Poza nędznym ubraniem ma do dyspozycji paskudne wnętrze baru i kilku jak on kolegów złączących się wieczorem na piwo czy whisky. Obserwując Jacka nabieramy pewności, że urodzić się w tym miejscu, to jak dostać dożywocie w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Praca jest tylko tu, w warsztacie samochodowym, w pobliskim miasteczku byłby bezrobotny, a to bardziej upokarza niż samotność. Płaci za swój wybór gorzką świadomością beznadziei. To ona dyktuje mu ospałe ruchy, prześwituje przez niezbyt wyszukane maniery, grube słowa, gest, z jakim zachłannie pali papierosa do ostatniego możliwego dymu, czy determinację, z jaką sięga po szklanę alkoholu.

Jack jest mężczyzną w sile wieku, ale stał się zgorzkniały i ironiczny, nie ma już nadziei – dziewczyna właśnie uciekła przed beznadzieją prowincji do miasta – że los może mu jeszcze coś podarować. Ale gdy w barze zjawia się młoda kobieta (Maja Ostaszewska), niemal natychmiast idzie do toalety i wraca z przyglądzonymi wodą włosami. Najpierw ją wykpi, wyszydzi, ale obserwować będzie z napiętą uwagą każdy jej gest i słowo. I oto między nimi coś iskrzy, ale skrywana pod szorstkim zachowaniem czułość pojawia się, gdy słyszy o jej nieszczęściu – straciła w wypadku córeczkę. Kobieta po przejściach spotyka więc mężczyznę z przeszłością. Majchrzak zrobił wszystko, żeby to nie zapachniało melodramatem.

Porywająca rola, prawdziwa do bólu, utkana z drobin codzienności, nieporadnych gestów, brzydkich słów. Spod pospolitości świata tylko świadomość dojrzałego artysty potrafi wydobyć urodę zwykłego życia, cud spotkania drugiego człowieka o podobnej wrażliwości. Takie przygody zdarzają się artystom wewnętrznie uczciwym.

Krzysztof Majchrzak wie, po co wchodzi na scenę, po co siada do fortepianu czy innych instrumentów, po co ćwiczy boks, narciarstwo, gimnastykę. Ponieważ uprawia swój zawód w sposób świadomie artystyczny, nie podejmuje się każdego zadania w filmie, a seriali czy reklam nie tyka. Umie odróżniać plewy od ziarna i stać go na to, by publicznie o tym mówić.

Tu krótka próbka stylu: „Bo gra toczy się o wartości. A tylko wartościowy człowiek może być wartościowym artystą.[...] Wartościowy człowiek ma ciekawe i wartościowe potrzeby emocjonalne. A za potrzebami emocjonalnymi kryje się pewien rodzaj gustu, który z kolei powołuje do życia ciekawą formę. Kółko się zamyka i tak grawitujemy ku Proustowi, Mannowi, Kafce i Czechowowi, a nie lubimy knociarstwa. I obojętne, czy gram księdza Andrzeja, czy dewianta straszącego sierotki w parku – staram się mieć dużo do powiedzenia jako człowiek, nie jako aktor. Reszta jest już tylko kwestią doboru środków. Tymczasem daje się zauważyć zaściankowe ruchy twórcze czynione wokół pseudotradycji i pseudopatriotyzmu. Poza tym wszyscy poszaleli na punkcie komercji, pseudosztuki robionej przez idiotów dla «idiotów», którzy wcale idiotami nie są i pewnego dnia tak się odwiną, że tym cynicznym «twórcom» popadają zęby”. (*Sztandar Młodych*, – 25, 1995).

Odwaga mówienia rzeczy niepopularnych, dotkliwych na pewno nie przysporzy mu przyjaciół w tym środowisku, ale też o nich nie zabiega. Zawsze był niezależny, niepokorny, zawsze też poza aktorstwem posiadał własną przestrzeń, zainteresowania, pasje. Świadomie ukształtowany światopogląd artystyczny pozwalający na dokonywanie wyboru. Potrafi na jakiś czas opuścić teatr, odmówić udziału w

durnych filmach, by założyć kapelę jazzrockową i tak się spełniać. Albo po prostu „twórczo milczeć”, na co stać bardzo niewielu. Stąd właśnie on ma własne pomysły twórcze. Jednym z nich jest stworzenie filmu o Karolu Szymanowskim na tle przedwojennego Zakopanego, kapel góralskich i artystów tam się zjeżdżających. Ma wszelkie dane, by zagrać wielkiego kompozytora.

Może nadchodzą czasy, że nie tylko felietonistom wypada bić głową o ścianę. Jak wiadomo, pękają mury systemów, dlaczego nie miałyby runąć mury głupoty i trywialności? Nawet najbardziej nieracjonalne sny czasem się urzeczywistniają. Szeregi marzycieli drążą korytarze nowej wrażliwości po cichu, za to skutecznie.

Elżbieta Baniewicz

